



NASZE MYŚLI

MIESIĘCZNIK SZKOŁY EKONOM. HANDLOWEJ I TRZYLETNIEJ HANDLOWEJ

Numer 2—3

GRUDZIEŃ 1930 — STYCZEŃ 1931



NASZE MYŚLI

MIESIĘCZNIK SZKOŁY EKON.-HANDLOWEJ ŻEŃSKIEJ I TRZYLETNIEJ HANDLOWEJ

NUMER 2—3 GRUDZIEŃ 1930 — STYCZEŃ 1931

WSZYSTKIM CZYTELNICZKOM „NASZYCH MYŚLI" ŻYCZYMY SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU I POWODZENIA W PRACY SZKOLNEJ. — REDAKCJA.

Szczęść Boże.

Przemile dźwięczą słowa „Szczęść Boże!",
Gdy idziesz polem, a rolnik orze.

Tak błogo słyszeć brzmienie „Szczęść Boże!"
Gdy rolnik zbiera z pola swe zboże.

Błogosławieństwo życzeń „Szczęść Boże!"
Szczęści w komorze, w domu, w oborze.

Wdzięcznie przyjmuje słowa „Szczęść Boże!"
Rzemieślnik, pracą zajęty w pokorze.

Wszystkim pomaga hasło „Szczęść Boże!"
W pracy gorliwej na ich ugorze.

Wchodząc do szkoły, witaj „Szczęść Boże!",
A Bóg ci pewnie w pracy pomoże.

Wstając, kładąc się, błagaj „Szczęść Boże!",
By ci jaśniały świetlane zorze.

Wznieś w każdej sprawie prośbę „Szczęść Boże!",
A Bóg cię wesprze o każdej porze.

Błogo wierzący w moc słów „Szczęść Boże!"
Zaznają skutków na życia torze.

Więc „Naszym Myślom" życzę „Szczęść Boże!"
Niech płyną zdrowe w każdym utworze.

S. S.

„Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą".

Życie to jeden nieprzerwany łańcuch walk, które człowiek musi staczać od najmłodszych lat. Podstawą ich jest walka o byt. Losy nikogo nie oszczędzają, wskutek czego wcześniej czy później człowiek odczuwa na swych barkach ciężką, nieprzyjazną dłoń życia. By utrzymać się więc na stanowisku, musi człowiek walczyć przedewszystkiem o byt.

Dopóki się jest w kwiecie wieku i sił, można pracować, wskutek czego ma się zapewnioną podstawę życia. Wtedy często prowadzi jednak człowiek życie kosztowne, trwoni pieniądze, nie doceniając ich wartości, ani też nie myśląc o „jutrze", o ciężkich chwilach życia, które mogą całkiem niespodzianie w przyszłości nadejść, a wreszcie o starości, kiedy człowiek musi się już usunąć od pracy w poszukiwaniu spokoju. Jeżeli się jest w takiem położeniu, a nie ma się środków do utrzymania, unieszczęśliwia się nietylko siebie, lecz staje się ciężarem najbliższych jednostek, a wreszcie społeczeństwa. Drogą, ochraniającą od tak przykrych ewentualności, jest oszczędnośc.

Widzimy więc, że człowiek powinien oszczędzać już od najmłodszych lat. A oszczędzać, to nie znaczy kryć zazdrośnie grosz przed bliźnim, to nie jest droga do skąpstwa, które zabija w człowieku uczucia ludzkie i zamyka serce jego obojętnością dla cierpień drugich, nie ma ona na celu zasklepiania się w ciasnej obręczy pozbawionego wszelkich wygód życia. Ma cel wzniosły, nie egoistyczne zaspokojenie potrzeb jednostki, ale całych mas społeczeństwa

Konieczność oszczędzania znana była już ludom pierwotnym, a cywilizowana ludzkość ujęła tę konieczną potrzebę wiele mówiącem przysłowiem: „Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą“.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę oszczędność ze strony praktycznej, to każdy musi przyznać, że jest ona konieczna. Żaden bowiem człowiek nie może być pewnym swej przyszłości, a najbogatszy nawet nie odsłoni rąbka, zakrywającego tajemnicze „jutro“. Wszelkie liczenie na „lepsze czasy“, wszelkie zdawanie się na „los szczęścia“ twierdzeniem, że „jakoś to będzie“, są w tym wypadku naganną lekkomyślnością. Jednakże jedynym celem życia człowieka nie może i nie powinno być gromadzenie i wyłącznie umiłowanie skarbów doczesnych, które są nietrwałe i znikome i które pozostawić się musi w godzinie śmierci. Raczej dbać należy o skarby trwałe i niezniszczalne, które zdobyć można życiem uczciwem, pracą rzetelną, cnotami i dziełami miłosierdzia. Aby zaś zachować owoc wytężonej walki codziennej o byt i zapewnić ludziom spokojną przyszłość, chroniąc ich przed zgubnym nałogiem bezmyślnego trwonienia, stworzyła ludzkość rozmaite instytucje, którym bezpiecznie powierzać można krwawą pracą zdobyty grosz, by podjąć go w chwilach fizycznego niedołęstwa, smutnej, a nieuniknionej starości. Banki, kasy oszczędności mają dlatego wielkie znaczenie dla życia gospodarczego, a więc dobrobytu społeczeństwa. Dysponując bowiem sumami umiejętnie powiększają je stokrotnie z korzyścią też dla poszczególnych jednostek. Dzięki temu drobne sumy, składane przez rozsądne jednostki, tworzą wielkie kapitały, z których korzysta następnie cały kraj.

Oszczędność jest zagadnieniem osobistego szczęścia, jest źródłem dobrobytu społecznego i szczęścia jednostki. A więc żyjmy pod dewizą „Pracuj i oszczędzaj“!

Fryda Himmelblauówna, kl. III. D.

Aby hasło oszczędności, tak koniecznej w życiu państwa polskiego, znalazło oddźwięk u wszystkich uczennic naszej szkoły, podajemy poniżej kilka uwag o działalności Szkolnej Kasy Oszczędności S. E. H. i T. H., udzielonych Redakcji uprzejmie przez Kuratorkę Szkolnej Kasy Oszczędności p. prof. Kubatówną.

Do Szkolnej Kasy Oszczędności, opartej na P.K.O. w Krakowie, a zorganizowanej w S.E.H.Ż. i T.H.Ż. należy klas 14. Złożono ogółem zł. 1800, na 200 książeczek. System i sposób wkładek jest tego rodzaju, iż umożliwia składanie bardzo drobnych sum, takich, jakie mogą oszczędzić uczennice, nie posiadające własnych pieniędzy.

Niestety jednak wiele klas do Szkolnej Kasy Oszczędności nie należy, co wskazuje, że nie wszystkie zrozumiały dobrze ideę oszczędności, tak popularną w innych krajach. We Francji i Belgji np. co drugi człowiek ma swoją książeczkę oszczędnościową, przez co zapewnia sobie spokojną starość, podnosi dobrobyt ogólny oraz ułatwia społeczeństwu utrzymanie równowagi gospodarczej.

Przeto zwracamy się z prośbą: **przystępujcie licznie do Szk. Kasy Oszczędności** i pamiętajcie, że pieniądz to skondensowana praca ludzka, którą należy szanować i oszczędzać. — Oszczędność uczy myśleć o przyszłości, zwiększa siłę i wartość narodu.

Radjo.

Upłynęło już kilka lat od tego czasu, kiedy w naszym kraju pojawiły się pierwsze radjoodbiorniki i pierwsze anteny. Dziś radjo jest tak rozpowszechnione w Polsce, iż każdy dobrze się orjentuje i dobrze rozumie, jak wielkie korzyści ono przynosi.

Gdy wzniesiemy w górę oczy i ogarniemy spojrzeniem dachy domów jakiegokolwiek większego miasta, zauważymy wielką ilość anten, zbudowanych na tych dachach. W dobie obecnej niema prawie domu, na którym nie byłoby co najmniej jednej anteny, a nierzadki jest widok nowoczesnego domu, oplątanego siecią anten, z których korzysta kilkanaście do kilkudziesięciu rodzin. Mieszkańcy naszych miast coraz bardziej uznają wielkie dobrodziejstwa radja, ponieważ ostatnio polskie stacje nadawcze rozwijają coraz obszerniejszą działalność i starają się, aby dostarczyć swoim słuchaczom obfitych i różnorodnych słuchowisk ze wszystkich interesujących ich dziedzin życia. Mieszkańcy miast słuchają z zaciekawieniem wykładów, odczytów, sprawozdań gospodarczych i politycznych, wiadomości z całego świata i siedząc w swoich mieszkaniach, przysłuchują się odbywającym się w salach koncertowych i teatrach operom, koncertom, rewjom i t. p.

Niezwykle szybkie rozpowszechnienie radja wśród mieszkańców wielkich miast dowodzi, że przynosi

ono wielkie korzyści. Dla mieszkańców wsi i małych miasteczek, a więc dla tych wszystkich, którzy częstokroć są pozbawieni możliwości bezpośredniego komunikowania się z większemi ośrodkami kultury i przyjmowania bezpośredniego udziału w rozrywkach i kulturalnem życiu wielkich miast, radjo ma jeszcze większe znaczenie. Mieszkańcy wsi polskich, odciętych od całego świata w porach słoty jesiennej lub zasp i mrozów zimowych mają jeszcze szersze pole do wykorzystywania dobrodziejstw współczesnej radjofonji, mają niezwykle obszerną możliwość stosowania jej w swojem życiu. W obecnym stanie rozwoju radjo przestało być, jak dawniej, tylko rozrywką i środkiem do zabijania nudy. Dziś radjo jest wprost koniecznością, a to szczególnie dla rolnika, przemysłowca i handlowca.

Jak wielką przewagę w wykonywaniu swego zawodu posiada handlowiec, który wporę dowiaduje się o zniżkach, względnie o zwyżkach cen na swoje towary, lub przemysłowiec, który słyszy komunikaty gospodarcze stacji nadawczej o nowem ukształtowaniu się cen na surowce, niezbędne dla jego fabryki.

Tak samo rolnik, czyto z odczytów fachowych, czy z komunikatów Państwowego Instytutu Meteorologicznego, wyciągnąć może wiele korzyści i zdobyć wiadomości, niezbędne w jego zawodzie.

Wyobraźmy sobie taki obrazek. Wieczorem po skończonej uciążliwej, całodziennej pracy w otoczeniu najbliższej rodziny, przy kominku, gdy poza murami naszego ciepłego mieszkania wieje chłodny, jesienny wiatr, lub też wichura rzuca w nasze zamarznięte okna śnieżycą, uruchamiamy odbiornik i zależnie od naszej woli podróżujemy po całym świecie, przenosząc się szybko z jednego większego miasta do drugiego. Sprowadzamy do swego (miasta) mieszkania wszystko, co rozkwit współczesnej kultury dać potrafi, a pilnie przeglądając programy stacyj nadawczych, wybieramy dla siebie to, co najbardziej w tej chwili odpowiada naszemu usposobieniu.

Zresztą trzeba już mieć w domu radjoodbiornik, aby móc ocenić, jakiem jest on wielkiem i niewyczerpanem źródłem pożytku i przyjemności. Tego się nie da opowiedzieć, o tem się trzeba samemu przekonać. Dlatego też najbardziej skutecznymi krzewicielami radjofonji są ci, którzy już z dobrodziejstw radja u siebie w domu korzystali i korzystają nadal.

H. Siebzehnerówna, III D.

Pieśń.

I dalej, i dalej pieśń płynie po fali,
O cichе się fale roztrąca
I ginie gdzieś w sennej, gdzieś w mrocznej oddali
I w ciszy rozlewa się drżąca...

Z fal szumem, z fal pluskiem roztacza swe kręgi,
Na każdej się fali kołysze,
Pieszczonym się ruchem na wód kładzie wstęgi.
W wieczorną roztapia się ciszę...

Już cicho naokół, a jeszcze drży fala,
Piosenki trącona oddechem,
Kaskadą się blasków wód czoło zapala.
Ostatniem skonała pieśń echem...

I tylko w powietrzu woń snuje się senna,
Chwytają ją kwiatów kielichy,
Aż wizja się pieśni rozwiewa promienna,
Na kwiaty sen schodzi, sen cichy...

I dalej, i dalej po życia się fali
Pieśń serca roznosi, roztrąca...
Leć pieśni, giń pieśni w tej mrocznej oddali!
Ty żywa, słoneczna, gorąca!

Ehrenhaltówna Ludwika, III A.

Sprawozdanie „Pomocy Koleżeńskiej“.

„Pomoc Koleżeńska“ Szkoły Ekonomiczno-Handlowej Żeńskiej, której kuratorem i założycielem jest prof. M. E. Balicki, istnieje od roku 1920.

Celem „Pomocy Koleżeńskiej“ jest wspomaganie materjalne biednych uczennic, dobrze się zachowujących i uczących, t. zn. kupowanie im ciepłych ubrań, bielizny, bucików, a nadewszystko lekarstw. Wszak wiemy wszyscy, że zdrowie to jedyna rzecz,

która daje zadowolenie i siły do produktywnej pracy. Dlatego też „Pomoc Koleżeńska“ w pierwszym rzędzie daje pomoc w lekarstwach, by w szkole wychować jednostki zdrowe, przyszłe podpory społeczeństwa.

Jest to już tradycją, że zarządza „Pomocą Koleżeńską“ kurs IV E. Ż. H., jako najstarszy. Z pośród tegorocznego kursu IV A uczenice dobrowolnie wybrały zarząd, w którego skład wchodzą: kol. W. Kołodziejówna — prezes, kol. Irena Bałazówna — sekretarz, kol. Lilla Grösslerówna — gen. skarbnik.

— — — — — — — — — — — —

W roku bieżącym tj. 1930/31 w pierwszem półroczu był następujący obrót:

Dochód ogólny	zł.	2.304·30
Z tego dano i pożyczono . .	„	1.062·—
Zakupiono lekarstw i ubrań za	„	980·—
Zostało **saldo** . . .	„	262·30

Z cyfr tych widać, jak rozwija się „Pomoc Koleżeńska“. Dlatego wzywamy wszystkie uczenice do udziału, do tego, by składały co miesiąc tak niewielką kwotę, jaką jest 50 groszy, bo przykro jest wykluczać poszczególne klasy i mówić, że to niedobre koleżanki. Sądzę, że oszczędzając, może sobie każda pozwolić na to, by tak piękną ideę wspierać. Dążmy więc wszystkie, by w księdze naszej nie brakowało żadnej klasy, wszak to obowiązek społeczny!

Lilla Grösslerówna.

Na łyżewkach.

Na łyżewkach z górki, z górki,
Hej, po śniegu, na pazurki,
Ścigajmy się ja i ty
Kto wpierw zjedzie? Raz, dwa, trzy.

Hej swobodnie i wesoło,
Teraz ty mnie goń znów w koło,
Śnieg jak srebrny, tak się lśni.
Nuże za mną: Raz, dwa, trzy.

Śliczne te zimowe ranki,
Dalej, wsiadaj tu na sanki,
Wnet wjedziemy ja i ty
W ten puch biały, raz, dwa, trzy.

Hej, za kołnierz śnieg mi prószy
I mróz szczypie w nos i uszy,
Z oczu mi aż płyną łzy —
Czas już wracać, raz, dwa, trzy!

Stankiewiczówna Aniela, III. D.

PROF. KAZIMIERZ SOSNOWSKI.

Mokra wycieczka.

Kwiecień był, a jeszcze śniegi leżały tęgie. W miejscach wypukłych i do słońca wystawionych poczęła już ziemia przeglądać, ale w zagłębieniach, w cieniu drzew i po północnych stokach wzgórz biało było zupełnie, a śnieg, choć zmurszały i zwilgły, grubą warstwą leżał i stawiał opór panowaniu wiosny.

Hej, zima też bo była w zeszłym roku śnieżna, taka śnieżna, jaką tylko dobrze starzy ludzie pamiętają. Ale wtedy nie znano u nas jazdy na nartach i ludzie wymyślali tylko na „obrzydłe śnieżysko“. Dziśby na to narciarze nie pozwolili.

Ale rok Pański 1923/4 był dla narciarzy rajem!

I cóż to — spytacie może — za przyjemność, uganiać na mrozie i zimnie z deskami do nóg przywiązanemi?

Ho, ho — i jaka! Jedna z największych!

Zimno ci nie dokuczy, bo ruch i pęd rozgrzewają krew, uszkodzeń cielesnych prawie z reguły nie zaznasz, bo choć walniesz kozła w rozpędzie, to w miękką śniegową pierzynę, nauka jest nietrudna, a rozkosz lotu niezwykła, powietrze do oddychania przeczyste, zimowe krajobrazy — jak z bajki!

Niema się co rozwodzić. Gdyby narciarstwo nie było jednym z najmilszych i najpożyteczniejszych sportów, nie zyskiwałoby z roku na rok tysięcy nowych zwolenników.

Zwłaszcza przepada za niem doroślejsza młodzież szkolna, bo dla młodzieży niżej lat 15 narciarstwo nie jest sportem pożytecznym. Tak orzekli lekarze — i basta.

W mojej szkole, zwanej teraz Szkołą Ekonom.-handlową, wszyscy jeździć mogą, bo nie przyjmuje

się do niej ani uczniów, ani profesorów poniżej lat czternastu. To też z funduszu zabaw nakupiliśmy nart przeszło tuzin, ale i to okazało się za mało. Z jedną parą często dwóch i trzech amatorów chodziło. Gdy jeden zziajany miał dosyć, przypinał jego narty drugi, potem trzeci.

Po Skałach Panieńskich, po kopcu Kościuszki jeździło bractwo tak zawzięcie, aż czapki od pędu spadały, a z nart drzazgi leciały. Ale za to wyćwiczył się pod moją komendą duży zastęp narciarzy, narciarzy sprawnych, ale i niegrzecznych, bo jakżeż to nazwać inaczej, jak nie niegrzecznością, że wielu z tych handlowych narciarzy ośmieliło się przewyższyć w sprawności i zręczności jazdy swego — profesora i mistrza. Niektórzy twierdzą nawet, że jest to impertynencja.

Skorośmy opanowali trudności terenów krakowskich, a nawet poczęli na nie patrzeć z pewnem lekceważeniem, uplanowaliśmy wielką wycieczkę narciarską w góry. Plan zaczął się od Tatr, zniżył się na Babią, z Babiej na Gorce, skończył się na Chełmie koło Suchej. Ale nie strach odstraszył nas od wielkich i wysokich zamiarów, li tylko płótno studenckich kieszeni, bo po ścisłejszym „obrachunku sumieni“ i przy wpłacie gotówki każdy przyszedł do przekonania, że Chełm, choć ma tylko skromną wysokość, jest także honorową górą. Przytem i termin musiał ulec odwłoce z tego względu, że „po pierwszym“ będzie weselej i zdrowiej. I znów coś jeszcze stanęło na przeszkodzie tak, że odwilż przyszła na całej linji i koniec końcem słusznie, bo zbliżała się już połowa kwietnia, kiedyśmy się znaleźli w wagonie.

Liczę uczestników wycieczki. Jest ich o dwóch więcej, niż nart posiadamy.

— Jakże to — pytam — znów po staremu robicie? Przecież to niesposób, żeby dwóch bez nart uganiało za innymi po dużej górze i zwaliskach śnieżnych.

— Będziemy — mówią nadprogramowi uczestnicy — Edzio i Józio przyrzekli dzielić się z nami nartami.

— No, niechże będzie, jak chcecie. I ja wam swoich deseczek użyczę — dodałem, bo z zasady nie gaszę zamiłowania do sportu.

Pociąg wije się wśród wzgórz Karpackiego Pogórza i z trudem dowleka się do wysokopołożonej stacyjki. Tu wyskakujemy z wozu.

— Klapa, bo chlapa! — woła któryś.

Nadzieja dobrego śniegu zawiodła. I tu odwilż na całej linji, słońce dobrze przypieka, śnieg mokry, lepki, ciężki, po jego powierzchni cieką strumyczki mętnej wody, drogami spływają całe strumienie.

Przebywamy w tej chlapaninie dolinkę i posuwamy się w górę ku drewnianemu kościołowi w Zakrzowie, mijamy wieś i wkrótce znajdujemy się na zboczach Chełmu, wśród lasów. Tu śnieg znacznie lepszy, choć mu daleko do dobrego. Mimo odpowiedniego spadku, mimo rozpędu — „nie chce puścić“. Narty ryją się głęboko, oblepiają się śniegiem i stają w połowie zjazdu.

— Kto smaruje, ten jedzie! — wołam — chłopcy, płozy spodem dobrze tłuszczem wysmarować!

Że na odpinanie szkoda było czasu, przewraca się na to słowo połowa wiary na plecy, narty opiera ku górze, a pozostali smarują deski woskiem, wazeliną, masłem, paprykowaną słoniną, a Józek, że nie miał żadnej innej tłustości, prócz własnej pod skórą, smarował kiełbasą. Po smarowidle szło lepiej, ale trzeba je było parokrotnie ponawiać. Znajdujemy na brzegu lasu dość długą i dość silną pochyłość — i tu rozpoczyna się rewja. Jeden za drugim mknie jak strzała, wiatr świszczy koło uszu, oczy się rozweselają, policzki płoną rumieńcem. I znów powolne wyłażenie pod górę, żartami i konceptami przeplatane, znów zjazd drugi, piąty, dziesiąty... już z zakosami, szusami, telemarkami.

Beznartni stoją pod lasem, tupią nogami i wołają na kolegów o zmiłowanie, jakoż wkrótce zwijali się i oni.

Długi Jaś, wójt klasowy, potknął się na czemś, zwalił się wpoprzek i zatarasował drogę. Utknął na nim następny, wszyscy dalsi — i w jednej sekundzie powstało wzgórze ciał skłębionych, oblepionych śniegiem. Wójt stękał na spodzie, ci z góry wymyślali na niego, szukali swoich nóg i nart, odplątywali je z tego kłębowiska i poczęli się powoli podnosić, do białych niedźwiedzi podobni.

Karambol skończył się dość szczęśliwie, choć nie bez pewnych szkód. Jednemu krew kapała z nosa i wymyślał na twarde kościska wójtowe, inny oglądał siniec na ręce, trzeciemu końcem narty fatalnie spodnienie rozdarto. Nic to — na „rany“ śniegu przyłożono, spodnie agrafami spięto i to tak zręcznie, że operowany wrzasnął, bo mu operator o skórę zahaczył. Najgorzej na tem wyszły narty, bo u dwóch końce złamano, z trzeciej wiązanie opadło, lecz i tym napoczekaniu zdolność do jazdy przywrócono.

Na odpoczynek i obiad wkrótce dogodne znaleźliśmy miejsce. Na kraju lasu, do słońca wystawionym, leżała ścięta jodła. Usadawiamy się i jedzenie idzie, z przysłowiowym studenckim apetytem.

Tadek stanął ztyłu i nic nie je. Spostrzegł to wójt i pyta:

— Tadek, czemu nie jesz? Czyś nie głodny?

— E, djabła ta nie głodny! Nie jem, bom wszysko zjadł jeszcze w wagonie.

— Chłopcy, składka na jego „żołądek“. Na co się uczysz ekonomji? Powinieneś mieć dwójkę z tego przedmiotu. Ale pamiętaj, ty przepaścisty molochu, że jeśli innym razem tak zrobisz, to nic nie dostaniesz!

Pierwszy skoczył ku niemu Józek z ćwierćmetrowym kawałkiem kiełbasy, następni z chlebem, salcesonem, powidłem, czekoladą. „Moloch“ wcale się tego nie przeląkł i na nieznajomości ekonomji wyszedł tym razem doskonale.

— Józek, a twój plecak, czemu jeszcze taki ciężki? — pyta któryś, któremu został prawie pusty woreczek?

— Czemu? Patrz! — i wyjmują z worka zwój domowej, wonnej, na czarno prawie uwędzonej kiełbasy. Rozgłośne „a a a!“ odbiło się echem wśród prościutkich pni jodłowych.

— Józek, gdzie ty to „zwędziłeś“?

— Nie ja to „zwędziłem“, ale mama w kominie na jałowcu uwędziła. Wiedziałem, że w domu zaszedł wypadek śmierci, to jest niby, że prosię zabić kazali. Wczoraj po szkole pognałem piechotą do domu na wieś, niedaleko, tylko 13 km, o 10-tej wieczorem już byłem zpowrotem, i proszę o prowiant dodatkowy na wycieczkę. Ojciec mi pogroził i powiedział, że nic nie da, bo jakieś pismo „pochwalne“ otrzymał z dyrekcji po wykazanej konferencji, ale mama, co nie tak czarno patrzy na moje „rzekome“ lenistwo, wybrała mi największą kiełbasę i bochenek pszenicznego. Niech żyje moja mama!

— Niech żyje!!! — zagrzmiało echem po lesie.

— Józek, ale za takie vivat to mógłbyś dać spróbować tej kiełbasy, choćby po takiej odrobince, jak Tadkowi; nie bądź wstrętnym egoistą — rzekł Olek, łykając ślinkę.

— Naturalnie, że wam dam, ale później.

— Bis dat, qui cito dat.

Józek policzył obecnych, położył zwój kiełbasiany na jodle, pociął go na 12 kawałków i zaczynając od profesora, częstował wkolej wszystkich. Kiełbasa, jak to mowią, „palce lizać“, prawdziwa polska, przypiekana, krucha, woniejąca dymem jałowcowym i czosnkiem. Za chwilę zostało po niej tylko wspomnienie, a o Józku utwierdziło się przekonanie, że jest dobrym kolegą.

(Dok. nast.)

L. O. P. P.

Każda z Was, drogie Koleżanki, wie, co te litery oznaczają, ale niejednej wydają się one dość martwe, bez wielkiego znaczenia. Tymczasem warto się nad tem zastanowić, bo jest to dla nas, Polaków, rzecz niezmiernej wagi.

Liga obrony powietrznej państwa! — Jeżeli bowiem nie będziemy mieli środków obrony przeciw zaciętemu wrogowi z zachodu, to zginiemy, to wpadniemy w powtórną niewolę, z pod której tak niedawno zdołaliśmy się wyswobodzić. — A trzeba wiedzieć, że najbliższa wojna będzie jeszcze straszniejsza od poprzednich, bo samoloty będą się unosiły nad naszem państwem, aby nad miastami rzucać bomby gazowe, które nietylko miasto zniszczą, ale wytrują też ludzi. Otóż chodzi o to, by ich w razie wojny nie wpuścić do wnętrza państwa i nie pozwolić na wyrzucenie bomb. Ale do tej obrony trzeba nam samolotów, których mamy stanowczo za mało! Cóż pomoże odwaga i dzielność wojska, jeżeli szczupłe środki nie pozwolą nam stawić czoła nieprzyjacielowi?

Składajcie więc datki co miesiąc, choćby nawet i bardzo skromne, aby się choć w ten sposób, choć w małej części, przyczynić do obrony Ojczyzny, na której zgubę czyhają sąsiedzi.

E. Fefermanówna, I C.

W noc grudniową.

Noc nadchodziła. Śnieżyca szalała na dworze. Wicher, dziko świszcząc, gnał przez pola, wyrywał korzenie drzew, szarpał, łamał, a płatki śniegu kręcił w zawrotnym tańcu, aż biedne, białe płateczki padały na ziemię zmarzniętą, tuląc się do siebie.

Na ulicach miasta pustki. Gdzie niegdzie tylko przesuwała się szybko jakaś postać, ciepło ubrana, spiesząca do domu. Bo i komużby się chciało w taką mroźną, wietrzną noc grudniową chodzić po brukach miasta, gdy tam w miłym, ciepłym domku czeka

go rodzina z wieczerzą wigiljną, oświecone drzewko, a przy niem śpiewanie kolend.

Było już całkiem ciemno. Na rogu jednej z ulic miasta ukazała się wysoka, smukła postać panienki o twarzy pięknej, dziwnie smutnej. Otulona w krótki, zniszczony płaszczyk, drżąc z zimna, skierowała swe kroki do stojącego wpobliżu kościoła. Tu mi będzie najlepiej — pomyślała, otwierając drzwi poważnej, cichej świątyni bożej, — tu ukoję swój ból i smutek. Bóg mnie pocieszy i Matka Przenajświętsza. Uklękła przed bocznym ołtarzem, z którego spoglądała na nią łagodnemi oczyma Matka Boga, Pocieszycielka strapionych, jakby mówiła: komu smutno, źle, niech do mnie przyjdzie. Dzieweczka zatopiła łez pełne oczy, w jej cudnem obliczu i modlić się gorąco zaczęła. Tak smutno jej, ciężko na duszy, gorycz wkrada się do niej, żal do losu, że ją tak srogo chłosta, odbierając matkę, ojca, dom, zostawiając samą wśród głuchego na skargi świata.

Dziś w wigilję, w domach radość panuje. W zgromadzonem najbliższych i najdroższych serc kółku rodzinnem płyną kolendy przy choince, a ona nie ma domu, gdzieby tego szczęścia doznała. Teraz w jej pokoiku głucho, pusto, nikt jej ciepłem słowem nie przywita. Jak strasznie żyć samej na świecie!

— Matko moja! Nie opuszczaj mnie — szepcze blade dziewczę.

A z modlitwą wstępuje ukojenie i słodycz do seruszka biednej sieroty.

I tak jej lekko teraz na duszy, tak słodko, bo ją Najdroższa Matka pocieszyła.

Ela Biłykówna E. Ż. IV. A.

Na pauzie.

Lekcja... W klasie cisza... Zabójczy katalog leży na stole, a pan profesor bardzo powoli odwraca kartki to w jedną, to w drugą stronę. Śledzimy ruchy pana profesora z natężoną uwagą. Na wszystkich twarzach maluje się oczekiwanie...

Nareszcie pada w ciszę nazwisko! — Odetchnęłyśmy z ulgą, a wywołana zrywa się i wychodzi z ławki z wystraszoną miną. Żegna się po drodze, a towarzyszą jej szepty: „Szczęść Boże“! „Nie bój się“ — „Patrz na mnie, ja ci będę podpowiadać“. Trącam dyskretnie swoją sąsiadkę, a ona, wiedząc, co to znaczy, szeptem mówi: „Za pięć minut“. Jeszcze chwila męczącej niepewności, — biedna ofiara poci się przy mapie i trrr!... Dzwonek nareszcie!! Pan profesor zamyka katalog, zadaje nową lekcję, w klasie już powstaje szmer, który po wyjściu pana profesora przechodzi w gwar. Koleżanki zwartem kołem otaczają te, które były pytane, ciesząc się razem z niemi lub pocieszając. Idę na korytarz. Tu jeszcze ruch nieduży. Kilka uczenic spaceruje, wziąwszy się pod ręce. Coś sobie opowiadają i co chwilę wybuchają śmiechem. Tu i ówdzie kręcą się poszczególne dziewczęta, albo któraś przemyka jak strzała i ginie na końcu korytarza. — Za chwilę wraca obładowana prowiantami (sklepik tercjana dość obficie jest zaopatrzony, zwłaszcza w czekoladki).

Zaglądam do klasy. Tu dyżurna w imię zasad higjeny otworzyła okna i wyrzuca koleżanki z pod pieca — daremnie bronią się — wyjść muszą. Dalej na korytarzu wpadam na Jankę zajadającą ze smakiem bułkę z szynką. Przypomina jej sie, że na następnej godzinie jest księgowość. Biegniemy na poszukiwanie Maryli i prosimy ją, by nam powtórzyła ostatnią lekcję. Inne koleżanki, widząc, na co się zanosi, spieszą za nami i wkrótce cały tłum żądnych wiedzy otacza uczynną towarzyszkę. — Znalazłszy względnie spokojny kącik, robimy dokoła prelegentki ścisk i ta zaczyna wykład. Wygłasza „księgę towarową“. Mówiąc to, wprawia ręce w taki ruch, że powoduje panikę słuchaczek, obawiających się o całość swych głów i fryzur. Śmiejemy się ze stosowanej przez Marylę metody księgowania, a po chwili słuchamy dalej w skupieniu i ciszy. Opodal Ala, nigdy niczem się nie przejmująca, popija najspokojniej mleko, a Franka odpisuje „z pilnością“ zadanie niemieckie. Wtem znów trrr... Ten sam dźwięk, co przed chwilą, a jakże odmienne uczucie wśród nas budzi!

Robi się popłoch! Niepewne „przyszłości“ wchodzimy do klasy i zajmujemy swoje miejsca...

Halina Zbrojówna, E. Ż. I. B.

„ZŁOTE MYŚLI“.

Sądź sprawiedliwie,
Módl się gorliwie,
Pracuj uczciwie.
Kochaj prawdziwie,
A ucz się możliwie!

Halina, III. A.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

Zagadka handlowa.

Założenie. Wiadomo, że czek, wystawiony z datą płatności, jest nieważny.

Pytanie. Czy można i w jaki sposób, tak zrobić, aby uprawniony nie mógł podjąć sumy czekowej zaraz, lecz dopiero po upływie pewnego czasu, mimo, że uprawniony, czek natychmiast dostaje do ręki.

Za rozwiązanie tej zagadki rozlosowana będzie między czytelników, którzy nadeślą dobre odpowiedzi, *nagroda* w postaci książeczki wkładkowej P. K. O. na sumę zł 5., którą ofiarował prof. Józef Lisak.

Odpowiedzi należy nadsyłać do redakcji w zamkniętej kopercie z napisem: Rozwiązanie zagadki handlowej. — W kopercie prócz rozwiązania, podpisanego godłem lub pseudonimem, umieścić złożoną karteczkę, na której należy umieścić: 1) godło lub pseudonim wybrany, 2) imię, nazwisko i klasę. Odpowiedzi można składać do dnia 25. I. 1931 r.

— — — — 1) Imię żeńskie zdrobniałe
— — — — 2) Instrument muzyczny
— — — — 3) Przyrząd do szycia
— — — — 4) Sprzęt domowy
— — — — 5) Dopływ Wisły
— — — — 6) Góry w Rosji
— — — — 7) Karta do gry
— — — — 8) Ptak nocny
— — — — 9) Część wozu
— — — — 10) Kwiat

Pierwsze litery, czytane z góry nadół, dadzą początkową literę imienia oraz nazwisko wskrzesiciela Polski.

Uł. Finkerówna F. I. B.

Układanka szaradowa.

Uzupełniwszy niniejsze samogłoski spółgłoskami, otrzymamy znane zdanie Kochanowskiego.

A - e - - i - o - u - - o - a o - - a - - a - o - ie
- a - e - u - o - - u - y O - - - y - - ie

Anna Klausnerówna III. D.

Rozwiązanie logogryfu z numeru 1-go: „Nasze Myśli".

Rozwiązanie szarady: Wierzyciele.
Dobre rozwiązania nadesłały:
R. Sperberówna III. D. W. Wewiórska II. B.

Szarada.

Gdy braknie pierwsze, trzecie,
Nie schowasz nic do skrzyni;
A kiedy pieniądz dostaniecie,
Radzę, niech każdy drugie czyni;
Całość, miejscowość znana
Z piękną legendą związana.

Uł. Klaklówna Aleks. II. B.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

„Wspomnienie z lat dziecinnych". Umieścimy w następnym numerze. (Przy sposobności prosimy o podanie nazwiska lub pseudonimu i klasy)

Biłykówna IV. A. Wiersz w jednym z następnych numerów.

Jaworska II. D. W następnym numerze.

Dębina Irena (kl ?), *Taublerówna I. B.*, *Franaszkówna I. B.*, *„Niemy świadek"*, *Eisenberg R. (kl. ?)* — Z wierszy nadesłanych nie skorzystamy.

Sia — vi I. D. Prosimy o dalszą współpracę.

Z nadesłanych utworów, prócz łamigłówki, narazie nie skorzystamy.

„Jakie korzyści mam z czytania literatury pięknej" (nadesłane bez nazwiska). Niesamodzielne.

Kadulska III. B. Niesamodzielne.

„Alina" III. A. Przygoda opowiedziana ładnie, ale mało zajmująca. Prosimy o dalsze.

Wewiórska II. B. Konikówkę umieścimy. Prosimy tylko o nadesłanie rozwiązania.

Zimmetówna II. B. Logogryf zatrzymamy.

Heli Kuperberg III. C. dziękujemy serdecznie za miły list z życzeniami, przesłany do Redakcji.

Odpowiedzi *na ankietę o kinie* umieścimy w następnych numerach.

REDAKCJA zwraca się do wszystkich czytelniczek, nadsyłających swoje utwory lub artykuły do „NASZYCH MYŚLI", by pisały je *wyraźnie i czytelnie* (ew. na maszynie) po *jednej* tylko stronie papieru i *bez błędów ortograficznych.* W przeciwnym razie Redakcja nie będzie mogła artykułów przyjmować, gdyż do drukarni w formie takiej, jak większość nadesłanych ostatnio, pójść nie mogą. Każdy utwór lub artykuł należy podpisać nazwiskiem lub pseudonimem oraz podać klasę, do której autorka uczęszcza.

Cena n-ru 50 gr.

Wydaje kl. III D pod kier. prof. Zofji Wolskiej. — Winietę rysowała St. Pawłowska, III D.
Odbito w Drukarni Bratniej Pomocy Medyków U. J. w Krakowie — pod zarządem Zygmunta Bojdy.

DRUKARNIA BR. POM. MEDYKÓW U. J.
W KRAKOWIE, UL. GRZEGÓRZECKA 20